

Studia weterynaryjne. Refleksje nauczyciela akademickiego

Jarosław Kaba

z Samodzielnego Zakładu Epidemiologii i Ekonomiki Weterynaryjnej Instytutu Medycyny Weterynaryjnej SGGW w Warszawie

Świat się zmienia i Polska się zmienia – i to w bardzo szybkim tempie. Procesy te są nieuniknione. Dotyczą one także polskiej nauki i edukacji, w tym edukacji weterynaryjnej na poziomie uniwersyteckim. A może powinniśmy użyć sformułowania „na poziomie wyższym”? Przecież „uniwersytet” to nie to samo, co „szkoła wyższa”. Chwilowo jednak pozostawmy ten problem bez rozstrzygnięcia i popatrzmy z praktycznej strony.

Państwowe szkolnictwo wyższe w Polsce jest utrzymywane z podatków wnoszonych przez podatników. Zastanówmy się, czego zwykły podatnik oczekuje od systemu szkolnictwa wyższego. Myślę, że w zdecydowanej większości przypadków nie interesuje go, ile publikacji naukowych powstaje rocznie w danej uczelni, szczególnie że bardzo często są one pisane w języku angielskim. Oczekuje natomiast, aby jego dzieci, które pójdą na studia, uzyskały dobre wykształcenie, a więc takie, które przede wszystkim bardzo dobrze przygotowuje do przyszłej pracy zawodowej, gdyż młodzi ludzie studiują, aby zdobyć wiedzę, która ma być rzetelną podstawą do rozpoczęcia pracy. Przecież dla zdecydowanej większości z nich nie będzie to praca naukowa, ale praca w wybranym zawodzie i to nawet niekoniecznie zgodnym z ukończonym kierunkiem. Studia mają więc przygotować młodego człowieka do podjęcia pracy zawodowej. Nie oznacza to bynajmniej, że mają się ograniczać jedynie do przekazania ściśle praktycznej i technicznej wiedzy.

Ucząc studentów weterynarii, zgodnie z obecną biurokratyczną nowomową należałoby powiedzieć „na kierunku weterynaria”, czasami rozpoczynam dyskusję ze studentami na ten temat i używam porównania wiedzy absolwenta wydziału weterynaryjnego i umiejętności doświadczonego kowala. Nigdy lekarz weterynarii nie będzie potrafił tak dobrze podkuć konia jak kowal, teraz chyba powinienem napisać „podkuwacz”. Zapewne doświadczony kowal będzie potrafił dużo lepiej niż lekarz weterynarii wykonać technicznie wszelkie zabiegi na kopycie konia, jednak nie oznacza to, że kowal będzie lepiej leczył choroby kopyt. Lekarz ukończył studia wyższe i dzięki temu ma zupełnie inne przygotowanie do rozwiązania określonego problemu. I chociaż zapewne nigdy nie dorówna kowalowi w jego umiejętnościach podkuwacza, to i kowal nigdy nie zdoła zastąpić lekarza weterynarii. Wykształcenie wyższe powinno dawać młodemu człowiekowi odpowiednią wiedzę ogólną i zupełnie inny, nowy pogląd na tematy ściśle zawodowe. Aby tak się stało, uczący go nauczyciel akademicki powinien oczywiście posiadać szeroką wiedzę i umieć ją przekazać. W procesie nauczania nie sposób

pominąć kwestii autorytetu nauczyciela w środowisku akademickim i wśród studentów.

W szybko zmieniającym się świecie mediów największy autorytet mają chętnie nawiązujący relacje z publicznością influencerzy, tiktokerzy, youtuberzy i może jeszcze inni „-erzy” (przyznają się, że nie jestem z tymi tematami na bieżąco). Liczy się liczba lajków i obserwatorów. Skutki? Na zaliczeniach ustnych studenci już kilkakrotnie bez zażenowania powiedzieli mi, że nie mam racji, bo w internecie jest inaczej. No cóż – znaki czasu... Wiem doskonale, że w niedalekiej przyszłości, w obliczu trudnych problemów zawodowych, ci sami ludzie zwrócą się o konsultację nie do influencerów, ale do swoich nauczycieli, do których mają w gruncie rzeczy zaufanie. Jednak uleganie na co dzień wpływom, jakie dają najnowsze technologie informatyczne, nie jest tylko skutkiem braku dostatecznej wiedzy młodego człowieka. Niestety, moje wieloletnie obserwacje doświadczonego nauczyciela akademickiego (mam nadzieję, że tak mogę się sam ocenić) i pracownika naukowo-dydaktycznego (z biurokratycznego punktu widzenia) prowadzą do gorzkich spostrzeżeń. Obecnie obowiązujące przepisy dotyczące szkolnictwa wyższego nie mają na celu podwyższenia poziomu nauczania. Co kilka lat praca wszystkich pracowników naukowo-dydaktycznych poddawana jest ocenie. Uzyskanie dwóch kolejnych negatywnych ocen wiąże się z rozwiązaniem stosunku pracy.

Popatrzmy w takim razie, od czego zależy ocena pracownika naukowo-dydaktycznego, nauczyciela akademickiego. Składają się na nią zasadniczo trzy elementy – osiągnięcia naukowe, praca dydaktyczna i praca organizacyjna, przy czym dwa ostatnie bardzo często mają znikome znaczenie. W praktyce o ocenie pracy nauczyciela decyduje pierwszy element – osiągnięcia naukowe, które sprowadzają się w dużej mierze do liczby publikacji naukowych w wysoko punktowanych czasopismach. Pamiętam, kiedy wiele lat temu broniłem swojego doktoratu i dumnie w prezentacji podkreśliłem, że moje badania doprowadziły do opublikowania artykułu w bardzo prestiżowym czasopiśmie międzynarodowym, nikt na to nie zwrócił uwagi, a wprost przeciwnie: pojawiły się życzliwe uśmiechy. Nie miało to wówczas żadnego znaczenia, liczyły się bowiem badania opisane w pracy doktorskiej, a nie anglojęzyczna publikacja. Dzisiaj jest odwrotnie. Na doktorat może składać się kilka opublikowanych artykułów i to one się liczą i stanowią o poziomie naukowym kandydata. Wszystkie czasopisma naukowe zostały biurokratycznie ocenione za pomocą systemu punktów. Im więcej punktów ma czasopismo, tym „lepszy” jest artykuł

w nim opublikowany. Im więcej punktów zbiera pracownik naukowy w swojej karierze, tym „lepszemu” jest „uczonym”. Tak rozwinęła się „punktoza” – pęd pracowników naukowych do publikowania i zbierania jak największej liczby punktów. Oczywiście dzisiaj możemy „punktozę” wyszydzać. Jednak dzięki temu systemowi polscy pracownicy naukowo-dydaktyczni zaczęli publikować na całym świecie na szeroką skalę i nikt już nie przyjmuje z pobłażaniem informacji młodego doktoranta, że udało mu się zamieścić artykuł w bardzo dobrym czasopiśmie. Jeśli obecnie popatrzymy na bazy danych zbierające publikacje naukowe z całego świata, bardzo często napotkamy w nich polskie nazwiska. Jeszcze 20 lat temu to była rzadkość! To jest moim zdaniem olbrzymie osiągnięcie „punktozy”. Oczywiście każdy ma dwa końce. Bardzo podobne trendy wystąpiły na całym świecie. „Punktoza” dotyczy wielu krajów chcących włączyć się w obieg nauki światowej i na tym „rynku” zaistnieć. A rynek, jak to rynek, szybko reaguje na zmieniającą się sytuację. Kiedyś publikowanie w czasopismach naukowych było bezpłatne. Czasopisma utrzymywały się ze sprzedaży swoich egzemplarzy do bibliotek. Teraz za publikację trzeba zapłacić i to często bardzo dużo (nawet powyżej 10 tys. zł). Wydawca prowadzi bardzo intratny biznes. Dawniej opublikowanie artykułu było dla autora bardzo pracochłonne i czasochłonne. Manuskrypt był recenzowany przez kilku recenzentów. Recenzenci byli najlepszymi specjalistami z danej dziedziny i wykonywali (i nadal wykonują!) swoje recenzje bezpłatnie. Bycie recenzentem dobrego czasopisma naukowego stanowiło prestiż. Skoro pojawił się popyt na publikowanie, rynek się do tego dostosował. Powstało wiele nowych wydawnictw, które szybko i sprawnie opublikują za pieniądze prawie wszystko, co się do nich prześle. Oczywiście artykuły nadal wymagają recenzji. Jednak wysokiej klasy recenzenci nie chcą już i nie mogą recenzować tak dużej liczby manuskryptów, tym bardziej że wydawcom, podobnie jak autorom, zależy na czasie. Coraz częściej recenzentami stają się osoby bez znaczącego prestiżu naukowego. I w ten sposób zadziałała stara kopernikańska zasada: *Zły pieniądz wypiera dobry pieniądz*. Obecnie opublikowanie artykułu nie jest już wielkim osiągnięciem. Jeśli manuskryptu nie przyjmie dobre czasopismo, to można go wysłać do gorszego. A czasami od razu swój artykuł wysyłamy do gorszego, bo zależy nam na czasie. Mówiąc „gorszego”, mam na myśli rzeczywistą wartość naukową czasopisma. Często te „gorsze” czasopisma mają wyższą punktację. Punktacja zależy bowiem od liczby cytowań artykułów danego czasopisma w innych czasopismach. Są to dość techniczne sprawy i sprawny menadżer czasopisma może przy odrobinie wysiłku podwyższyć sztucznie punktację. Tam, gdzie są poważne pieniądze (stawka wynosi 10 tys. zł za artykuł!), są też bardzo sprawni menadżerowie. A przecież pracownikom naukowo-dydaktycznym zależy na szybkim publikowaniu w wysoko punktowanych czasopismach. Mechanizm więc działa sprawnie. Gdzieś po drodze zagubiła się natomiast idea i sens tego niegdyś dobrego i rzetelnego systemu. Pamiętam, jak kilka lat temu na

jednym ze spotkań w Polskiej Akademii Nauk bardzo poważny uczonec i urzędnik PAN jednoznacznie optował za zamknięciem zasłużonego dla nauki polskiego czasopisma naukowego ze względu na jego zbyt niską punktację. Argumentem było, że należy publikować w zagranicznych, lepszych czasopismach. Czas pokazał, jak to jest z „jakością” zagranicznych czasopism. Można różnie oceniać pomysły i decyzje obecnych władz ministerialnych, jednak podniesienie punktacji polskich czasopism, które miało miejsce w ostatnim roku, w wielu przypadkach było dobrą decyzją. Skoro wydajemy na publikacje wyników badań naukowych olbrzymie pieniądze budżetowe, to niech one w większym stopniu trafiają do polskich wydawców. Warto pamiętać, że obecnie zdecydowana większość publikacji naukowych jest dostępna online i wszyscy na całym świecie mogą z nich łatwo korzystać. Mniejsze znaczenie ma to, czy praca wydrukowana jest w polskim, czy zagranicznym czasopiśmie. Byle to był dobry artykuł naukowy!

Z tym jest duży problem. Dobra publikacja musi być oparta na właściwie przeprowadzonych, rzetelnych badaniach. I tu rodzi się pokusa. Wszak wszystkim zależy na publikacji wyników – autorowi z oczywistych względów najbardziej, ale także władzom uczelni. Im więcej pracownicy uczelni opublikują, tym uczelnia jest wyżej oceniana i dostaje więcej pieniędzy z budżetu. Tę ostatnią zasadę próbowano zmienić w ostatniej ustawie o szkolnictwie wyższym. Może założenia były dobre, ale wyszedł potworek. Pojawiły się „sloty” (nie wiem, co to znaczy po polsku), pojęcie dla wielu ludzi zajmujących się rzeczywiście pracą naukową, a nie uczonych-urzędników, kompletnie abstrakcyjne i niezrozumiałe. Cały system tzw. ewaluacji (nie wiem, dlaczego nie nazywa się tego po prostu – oceną) jest tak biurokratyzowany i skomplikowany, że niektóre wydziały (instytuty) zatrudniły specjalistów do wypełniania odpowiednich sprawozdań. Tu znowu warto odnotować, że urzędnicy ministerialni zauważyli ostatnio ten problem i zamierzają to zmienić. Czas jednak płynie, a decyzji nie widać. Zarówno autorom, władzom uczelni, jak wydawcom zależy na szybkim publikowaniu wyników badań. Niestety, jak to w życiu bywa, wyniki te nie zawsze są na miarę nagrody Nobla, a nawet na miarę publikowania w dobrym czy gorszym czasopiśmie naukowym. Tak powstaje szerokie pole dla wszelkich nierzetelności. Jeśli pracownik naukowy, a szczególnie młody, ambitny człowiek trafi do zespołu, w którym liczą się tylko punkty za publikacje, to pojawia się pokusa pójścia na skróty. Gdy do tego dołoży się jeszcze chęć szybkiego zrobienia kariery i brak nadzoru ze strony przełożonych, a często wręcz panujący klimat przyzwolenia, to mamy pole do nierzetelności naukowych. Nie ma możliwości, żeby koledzy z zespołu nie wiedzieli, że coś z danymi badaniami jest nie tak. Ale zwykle młodzi, ambitni ludzie są wspierani przez władze uczelni, które tak jak oni pragną sukcesu i nie chcą zajmować się trudnymi problemami. Liczą się przecież publikacje i punkty! Od tego jednak zależy dotacja ministerialna dla uczelni i jej prestiż. A najlepiej jeszcze, żeby uczonec lub uczonec pojawiali się w mediach, na

okładkach kolorowych czasopism, w telewizji śniadaniowej czy zaistnieli w internecie. No i oczywiście, żeby byli młodzi. To też bardzo dobrze sprzedaje się medialnie – najmłodszy doktor, najmłodszy doktor habilitowany, najmłodszy profesor belwederski!

Można w krótkim czasie opublikować wiele artykułów i zdobyć sporo punktów, ale nie oznacza to, że autor automatycznie stał się dojrzałym pracownikiem naukowym, a takim powinien być doktor habilitowany czy profesor belwederski. Oprócz wydrukowanych artykułów niezbędne jest doświadczenie i to zarówno zawodowe, jak życiowe, co wymaga odpowiedniego skupienia na pracy, czasu i nie zastąpi tego zebranie nawet imponującej liczby punktów za publikacje. To punkty jednak stanowią spektakularne osiągnięcia, gdyż przysparzają splendoru uczelni i być może przełożą się na większą liczbę kandydatów na studia! Z przykrością widzę w tym pogoń za wpisem do *Księgi rekordów Guinnessa*, a nie rzetelne prowadzenie badań i nauczania.

Bardzo poważne mam obawy, że jeśli w przyszłości pojawią się zastrzeżenia do jakości badań i wyników prac naukowych, to najlepszym rozwiązaniem będzie stara, wypróbowana metoda – zamieszczenie sprawy pod dywan. Jeśli nawet to się nie uda, młyny uczelniane miały bardzo powoli – sprawy u rzeczników dyscyplinarnych ciągną się latami, wszak nikt nie jest zainteresowany szybkim i radykalnym rozwiązaniem problemu. Młodzi ludzie to wszystko obserwują i wyciągają logiczne wnioski – liczą się punkty za publikacje, a nie rzeczywista jakość badań. Jest to olbrzymim problemem w całej nauce światowej. Najlepszym przykładem niech będzie sfałszowane wyników badań nad etiopatogenezą choroby Alzheimera. Żądni sukcesu i sławy „naukowcy” poddali komputerowej obróbce, i tym samym sfałszowali, pliki graficzne dokumentujące badania. Skąd my to znamy? Dokładnie takie same problemy mamy w Polsce!

Najważniejsza jest więc obecnie na naszych krajowych uczelniach wysoko punktowana nauka (co zresztą przeczy samej nazwie instytucji – „uczelnia”). Dydaktyka i jakość nauczania w ocenie pracy nauczyciela pozostają gdzieś na marginesie. Pandemia i nauczanie zdalne zmieniły wiele. Od lat powoli sens traciło prowadzenie tradycyjnych wykładów w aulach. Oczywiście, zawsze trzeba mieć na uwadze, że obcowanie z autorytetem z danej dziedziny, Profesorem (przez duże „P”), ma duży sens. Niestety, to się w odbiorze studentów zmieniło. Wiele uczelni na świecie odchodzi od tradycyjnych wykładów. U nas pewno jeszcze długo do tego nie dojdzie. Wszak stracilibyśmy godziny dydaktyczne i wiele etatów! Nasze uczelnie nie dążą do radykalnych zmian, bo i po co. Obecna ustawa zapewniła rektorom jedynowładztwo, a środowisko akademickie ma praktycznie niewielki wpływ na ich wybór. Rektor decyduje o wszystkim na uczelni i lepiej mu się nie narażać. A należy pamiętać, że zarobki rektorów w Polsce są często bardzo wysokie (podstawowe wynagrodzenie w wielu przypadkach przekracza 30 000 zł). Warto więc być rektorem i warto także być... z rektorem. Wszak pokorne cięły dwie matki ssie. Rektor do pomocy w zarządzaniu uczelnią ma administrację. W związku z coraz

większymi wymaganiami biurokratycznymi administracja stale się powiększa. I z czasem, jak zawsze w takich przypadkach, zaczyna żyć swoim życiem. Wydaje się niekiedy, że administracji uczelni nie są już potrzebni ani studenci, ani nauczyciele akademicy. Administracja jest zdolna produkować dziełkami, jeśli nie setkami najróżniejsze rozporządzenia i wewnętrzne regulacje. I oczywiście należy przeprowadzać odpowiednie szkolenia, zakończone zaliczeniem – żeby mieć co wykazać w sprawozdaniu i potwierdzić wagę swojego istnienia. Ostatnio na jednym ze szkoleń mnie, profesora weterynarii, uczono... jaki skład chemiczny ma teczka do przechowywania dokumentacji, przy czym szkolenie to było obowiązkowe. Wydaje mi się, że władze uczelni zapatrzyły się zbyt w organizację korporacji. Korporacyjne zasady próbują wprowadzać za wszelką cenę, nie zważając na to, że uczelnia wyższa z zasady nie może być korporacją. Uczelnie zawsze były ośrodkami swobodnej wymiany myśli (a może tak nie powinno być? przecież to niewygodne!) i sztucznie wprowadzane zasady korporacyjne na uczelni wyższej zdecydowanie nie pasują. Zresztą i korporacje zmieniają właśnie zasady działania, bo świat się zmienia i trzeba za tym nadążyć. Zdaje się, że władze wielu uczelni tego jeszcze nie zauważyły.

Myślę, że czas najwyższy, aby samo środowisko akademickie zaczęło wewnętrzną, poważną i szczerą dyskusję nad przyszłością szkolnictwa wyższego w Polsce. Naiwnie uważam, że powinna to być otwarta dyskusja pozbawiona zarówno wielkiej (krajowej), jak i małej (wewnątrzuczelnianej) polityki. Niestety, nie będzie to łatwe i obawiam się, czy do tego dojdzie. Wszak, na dobrą sprawę, wszyscy decydenci są zadowoleni. Rektorzy mają się czym chwalić, naukowcy publikują, bardzo wysoki odsetek studentów kończy studia. Gdzie jest więc problem? Problem niestety narasta i wszyscy go chyba widzą. Studenci powoli zaczynają zauważać, że takie studia niewiele dają i chyba nie mają sensu. Wyrażają swój pogląd nogami. Na wielu kierunkach brakuje kandydatów, mimo że wymagania, aby dostać się na studia, są z roku na rok coraz niższe. Nas ten problem pozornie nie dotyczy. Żeby być lekarzem weterynarii, studenci MUSZĄ skończyć studia. Ale wydziałów weterynaryjnych jest w Polsce coraz więcej. Chyba najwyższy czas postawić na rzeczywistą jakość nauczania, przede wszystkim praktycznego – klinicznego. Obecnie bardziej skupiamy się na biurokratycznych „systemach zabezpieczenia jakości nauczania”, a to zdecydowanie nie to samo.

Może warto się nad tym poważnie zastanowić i otrząsnąć z poczucia błogostanu.

Prof. dr hab. Jarosław Kaba, DipECSRHM,
e-mail: jaroslaw_kaba@sggw.edu.pl